

Janusz Sławiński

Zwłoki metodologiczne

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 5 (41), 1-9

1978

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Komitet
Nauk
o
Literaturze Polskiej
i
Instytut
Badań
Literackich PAN

dwumiesięcznik 5 (41), 1978

teksty teksty teksty

TEORIA LITERATURY · KRYTYKA · INTERPRETACJA

Zwłoki metodologiczne

Już tylko «szarym ludziom» wypada dziś tłumaczyć, że zadaniem metodologii w naukach humanistycznych jest obsługa badań przedmiotowych — historycznych i teoretycznych. Powiadamy im:

«Ciekawi Was zapewne, mili słuchacze, czym to właściwie zajmujemy się w naszych pracowniach, salach wykładowych i gabinetach. Otóż usiłujemy przede wszystkim opisywać, porządkować i wyjaśniać pewne dane faktyczne, które — jak sądzimy — na to zasługują; następnie roztrząsamy i systematyzujemy problemy nasuwające się w związku z charakterem i ukrytymi właściwościami owych danych; nasze przedsięwzięcia — i w jednym, i w drugim zakresie — byłyby jednak z pewnością niezadowolające, gdybyśmy nie wkładali nieustannego wysiłku w obmyślanie stosownych chwytów i metod, dzięki którym dane mogą zespalać się w przedmiotową wiedzę naukową, a problemy w zasadne teorie. Jeśli ktokolwiek żywiłby wątpliwość co do znaczenia tej trzeciej płaszczyzny naszych prac, łatwo je rozproszyć odwołaniem do powszednich doświadczeń. Wiadomo, że im bardziej skomplikowaną czynność macie do wykonania, tym silniejsza będzie wasza zależność od użytkownych narzędzi — od ich dostępności, funkcjonalności, niezawodności. Ktoś, kto wykonuje systematycznie działania danego rodzaju (sprzą-

ta, gotuje czy reperuje maszyny do pisania), część swojego codziennego trudu przeznaczają na zajmowanie się niezbędnymi narzędziami. Nie wystarczy, że zgromadzi ich niezbędny zestaw; musi przecież przechowywać je w odpowiednich warunkach, konserwować, a często nawet ulepszać. I tylko pozornie jest to wysiłek marginesowy w stosunku do głównej roboty: w istocie decyduje w znacznej mierze o jej efektywności. Nie inaczej wygląda sytuacja badacza. I on powinien z należytą troską odnosić się do instrumentów swojej pracy — utrzymywać je w stanie należytej sprawności. Sprzęt badawczy będący w użyciu danej dyscypliny — systemy terminologiczne, założenia klasyfikacji i typologii obiektów, metody wnioskowań, sposoby budowania generalizacji, techniki analizy i interpretacji itp. — wymaga ciągłych przeglądów, kontroli i zabiegów renowacyjnych. Taka krytyczna refleksja nad instrumentarium to metodologiczny komponent naszych poczynań. Uprawiamy ją zawsze z myślą o korzyściach płynących stąd dla badań podstawowych: usprawnione narzędzie ma nam przybliżyć i uwypaczyć ich przedmiot».

Tego rodzaju tłumaczenia monotonicznie powtarzają się od czasów pozytywizmu, choć oczywiście występowały już w bardzo rozmaitych przebraniach słownych. Dziś jednak nawet «szarzy ludzie» (owi mityczni konsumenci produkcji naukowohumanistycznej) zaczynają odnosić się do nich z rezerwą i powątpiewaniem. Nie trzeba bowiem specjalnego wtajemniczenia, by spostrzec, że są drastycznie nieadekwatne wobec praktyk współczesnej humanistyki. W jakiejś mierze stanowią bez wątpienia wyraz fałszywej świadomości badaczy, przywiązanej trwale do czegoś, co już nie istnieje (jeśli kiedykolwiek istniało) i skutecznie izolującej od tego, co faktyczne. Jednakże tłumaczenia takie wychodzą również od ludzi zdających sobie w pełni sprawę z ich nieadekwatności, nie poczuwających się do żadnych zobowiązań wobec dziedzictwa pozytywistycznego. Dlaczego więc i ci uciekają się do nich? Co tym ostrowidzom nie pozwala spojrzeć prawdzie w oczy? Zauważyć jednak wypada, że różne to sprawy: spojrzeć prawdzie w oczy i prawdę tę wystawić (komuś). «Wiem, że P, ale wolę mówić A» — tak powiadamy (sobie), gdy jakieś względy t a k t y c z n e nakazują nam wprowadzić kogoś w błąd lub odwrócić jego uwagę od tego, co istotne. Znamy prawdę, ale uważamy, że jej wypowiedzenie może okazać się dla nas kłopotliwe: podważy zaufanie, jakim się cieszymy, wywoła sło-

wa krytyki, narazi na śmieszność (co o nas powiedzą na mieście?). Otóż tłumaczenia w rodzaju wyżej przytoczonego mają dziś w znacznym stopniu sens taktyczny. Są adresowane do tzw. szerszej publiczności, a nie do współproducentów wiedzy. Czy prawda, którą zakrywają, jest rzeczywiście czymś a ż tak wstydlivym?

* * *

A wygląda ona tak mniej więcej:

1. Jesteśmy dziś świadkami żywo rozwijającego się procesu emancypacji zainteresowań metodologicznych w obrębie różnych dyscyplin humanistyki. (Przykładem, który mam — tu i dalej — na uwadze, są doświadczenia nauki o literaturze; myślę jednak, że poczynione w związku z nimi obserwacje można zasadnie uogólnić). Rozważania nad językiem badawczym coraz częściej uniezależniają się od potrzeb wiedzy przedmiotowej. Motywację dla ich podejmowania stwarza teraz nie tyle chęć pomnażania zasobu tej wiedzy, uświadamiana konieczność rozwiązania problemów nie dających się rozstrzygnąć w językach zastanych lub wyjaśnienia faktów uprzednio nie uwzględnianych, co przede wszystkim trudna do zwalczania żądza wypowiedzania się na temat narzędzi i procedur — jakie są, jakie być powinny, jakie można by sobie wyobrazić. Owe narzędzia i procedury są dziś w mniejszym stopniu interesujące ze względu na ich ewentualną użyteczność badawczą, bardziej zaś jako obiekt możliwych eksplikacji, komentarzy i dopowiedzeń. Nie to, że są zdolne coś opisywać lub wyjaśniać, budzi głównie ciekawość, lecz to, w jakiej mierze same mogą być dalej objaśniane. Tym bardziej przykuwają uwagę, im więcej da się o nich powiedzieć. Refleksja nad instrumentem badawczym nie jest już początkiem ruchu przybliżania się do przedmiotu; inicjuje ruch oddalania się od niego — otwiera łańcuch wypowiedzi, które aktualizują kolejno coraz wyższe stopnie semantyczne języka. Od modelu więc droga wiedzie nie ku interpretacji zjawisk, lecz do metamodelu, który z kolei implikuje rozważania o sposobach konstruowania metamodeli; nie wystarczy zbudować teorię, gdyż natychmiast domaga się ona wsparcia przez mocniejszą metateorię, ta zaś wymagać będzie niechybnie rozwinięć — na wyższym poziomie; technika analizy sprawdzać się ma nie tyle w fortunnych zastosowaniach, co przede wszystkim w bogatych i wielostronnych dociekaniach na temat jej

wewnętrznej logiki, optymalnych warunków stosowalności, dających się przewidywać pożytków, jakie przyniesie dyscyplinom innym niż macierzysta itp. itp. Proces spiętrzania się wypowiedzi o narzędziach i procedurach nie ma — teoretycznie biorąc — kresu. Może rozwijać się w nieskończoność. W ten sposób metodologia zaczyna żyć własnym życiem: nie musi specjalnie liczyć się ze swoim przedmiotowym zakorzenieniem — sama generuje własną problematykę, i jest to wystarczająco duży wysiłek. Już nie obsługa badań stanowi rację jej bytu, lecz przede wszystkim — samoobsługa.

2. Wzmoczone zainteresowanie dla spraw metodologii nie wiąże się bynajmniej z jakimś szczególnym przywiązaniem do tych języków badawczych, które podpadają pod metodologiczną refleksję. Przeciwnie: uderza brak wierności wobec tego, co zdołało zaciekawić lub nawet wywołać fascynację. Miłości są intensywne, ale nie trwają długo. Nasz stosunek do faworyzowanych kolejno metod nacechowany jest swoistą nieodpowiedzialnością: entuzjazmujemy się nimi ponad miarę, a następnie w pośpiechu porzucamy, zanim jeszcze ktokolwiek sprawdził ich moce eksplanacyjne. Proces ewolucyjny dzisiejszej humanistyki przypomina (co już zauważono) serię epidemii — szybko się rozprzestrzeniających, ale stosunkowo krótkotrwałych. Jeszcze jedna nie wygasła, a już popędza ją druga (niczym wyprawy krzyżowe u Białoszewskiego). Szybka rotacja nie wyeksploatowanych języków nie pozwala żadnemu z nich bezwzględnie zapanować nad daną dyscypliną. W rezultacie nie ma szans, by ustalił się w niej jakiś miarodajny paradygmat, umożliwiający porządkowanie narastających doświadczeń metodologicznych. Powszechnie panuje nasza mała destabilizacja. Obowiązuje w niej dewiza: ważne jest, by mieć w swojej dyspozycji wiele różnych języków, niezależnie od tego, czy ma się coś do powiedzenia w którymkolwiek z nich. W takim brzmieniu wyraża postawę zachłannie dorobkiewiczowską. Ale ma też wariant odpowiadający postawie przewidującego gospodarza: trzeba na wszelki wypadek zgromadzić jak najwięcej narzędzi — jakiś materiał do obróbki zawsze się potem znajdzie. Owo «potem» nie przychodzi jednak, ponieważ zmieniły się gusta metodologiczne i nikomu ani w głowie testować przestarzały sprzęt. Porzucony — nie znika przecież. Wypełnia różne lamusy i schowki, wala się beztładnie na poboczach dróg i wysypiskach; niekiedy służy jeszcze przez jakiś czas ubogim

provincjuszom, do których zmiany upodobań i mód docierają ze znacznym opóźnieniem. Cokolwiek powie się o skutkach ruchu emancypacyjnego metodologii, jeden z nich już teraz nie ulega wątpliwości: niebываła n a d p r o d u k c j a oferowanych instrumentów badawczych — pojęć, terminów, kategoryzacji, klasyfikacji, konceptów, praw, forteli interpretacyjnych... Tylko niektóre z nich powstały jako odpowiedź na wezwania wiedzy przedmiotowej; większość zrodziła się ze spekulacji nad innymi instrumentami: z przekształceń, odwróceń i zapożyczeń dokonywanych w obrębie dostępnych repertuarów metodologicznych. Asortyment wyprodukowanych w taki sposób narzędzi jest zbyt bogaty jak na potrzeby istniejącej problematyki teoretycznej. Kłopot dziś polega nie na tym, że pojawiają się zagadnienia, czekające na właściwe sformułowanie w języku, którego potrzebę dopiero się przeczuwa, lecz na tym, że występuje nadmiar języka o nie dającej się przewidzieć stosowności, czekającego na wyłonienie się jakichś zagadnień. Jest to nadmiar pozbawiony uchwytnej hierarchii i dlatego trudny do ogarnięcia: w bezładnym wymieszaniu sąsiadują w nim kategorie o wyobraźalnej użyteczności z kategoriami przypominającymi gadżety, zabawki czy nadrealistyczne urządzenia o zagadkowym przeznaczeniu lub nawet ostentacyjnej niefunkcjonalności.

3. Rozrostem i autonomizacją metodologii — zarówno w przekroju indywidualnego warsztatu badawczego, jak też w przekroju całej dyscypliny czy grupy dyscyplin — rządzi bez wątpienia p r a w o z w ł o k i (sformułowane, jak wiadomo, przez Parkinsona w odniesieniu do całkiem innego obszaru spraw). Oddając się z lubością roztrząsaniu metod, odsuwamy w nieokreśloną przyszłość moment, w którym należałoby się nimi posłużyć. Trzeba się starannie przygotować — tłumaczymy sobie — a wtedy nie będzie nam niczym groził. Ale proces przygotowań, tak tłumaczony, może nie mieć końca, ponieważ moment decyzji o wszczęciu działania jest zawsze niebezpieczny i lękotwórczy — niezależnie od tego, jak wielki wysiłek włożyło się uprzednio w opracowanie dokładnych projektów i scenariuszy. Działanie bowiem — w tym, co dlań istotne — nie jest nigdy kontynuacją rozważań nad możliwościami jego podjęcia, lecz ustanawia porządek komplementarny wobec takich rozważań. Przenosi ono działającego w inną rzeczywistość i naraża go na ryzyko spotkania z nieobliczalnym i nieznanym. Metodologia — w jej

dzisiejszym niepohamowaniu — jest czymś w rodzaju rytuału zabezpieczającego przed taką konfrontacją. Wprowadza element pożądaną retardacji: mnożąc narzędzia, roztrząsając ewentualności rozwiązań, wnosząc utrudnienia i upośrednienia, postulując niezliczone warunki przedwstępne badań — pozwala nam na honorowe powstrzymywanie się od czynów ryzykownych. Niekiedy zwłokę wspiera ideologicznie utopia przyszłościowa: gdy u n o r m u j e się wreszcie działania badawcze, ustali właściwe punkty widzenia i preferencje — wtedy łatwo się będzie badaczom porozumieć i w zgodzie zaczną wznosić jednolity gmach wiedzy. Przeciwko idei unormowania i standaryzacji działań przemawia niewiele, bo tylko całe dotychczasowe doświadczenie humanistyki, w której właśnie nieporozumienia, kłótnie, zderzenia języków i zamęt pojęciowy okazywały się niejednokrotnie potężną siłą problemotwórczą. Póki co jednak — zalecają wyznawcy owej utopii — należy metodycznie organizować wzorowe place budowy. Rzeczywiście: budowli jakoś nie widać, ale za to placów budowy nieustannie przybywa. Na każdym ruchu i krzątaniu: jedni znoszą sprzęt, drudzy go segregują, inni ustawiają gdzie trzeba, a jeszcze inni skrzętnie wszystko zapisują na specjalnych formularzach. I oto ulica złożona z samych placów budowy. I oto miasto złożone z takich ulic. Byłby to stosunkowo trafny wizerunek dzisiejszej humanistyki. Ale projektanci i budowniczowie przyszłych pałaców sami przecież muszą gdzieś mieszkać. Wokół wzorowych placów budowy wyrastają prowizoryczne budki, baraki i lepianki. W tych byle jakich pomieszczeniach toczy się prywatne życie projektantów i budowniczych. Czyż nie taki jest właśnie rozziw między wyrafinowaniem metodologii a bezpośrednim kontekstem powszedniej praktyki badawczej?

4. Istnieją różne hipotezy na temat przyczyn zwłok metodologicznych. Jedna z nich tłumaczy je wyjąłowieniem (ale ono samo przecież wymaga wytłumaczenia!) dzisiejszej humanistyki i — w konsekwencji — jej skłonnością do pasożytowania na teoriach i problematykach zrodzonych w przeszłości. Przykład literaturoznawstwa nie przeczyłby takiej — niemiłej — hipotezie. Podstawowe zagadnienia, którymi żyje ta dyscyplina, wyłoniły się jeszcze w okresie międzywojennym. Zawdzięcza je rosyjskim formalistom, czechosłowackiemu strukturalizmowi, Ingardenowi, Lukácsowi, Bachtinowi, Nowej Krytyce, psychologii głębi... Czas terażniejszy nie wzbogacił

tego fundamentalnego repertuaru koncepcji. Znajdują się one dalej na porządku dnia. Można powiedzieć więcej: wyznaczają horyzont problemowy obecnego myślenia naukowego o literaturze i kształtują jego różne style. W okresie powojennym nie wystąpiły żadne zasługujące na uwagę próby zdecydowanego przeciwstawienia się temu dziedzictwu. Raczej przeciwnie: wszystkie właściwie liczące się programy literaturoznawcze ostatnich trzech dziesięcioleci były w gruncie rzeczy przypomnaniem, interpretowaniem i dookreśleniem spraw dawno już sformułowanych (choć nie zawsze w swoim czasie dostrzeżonych). Zniewolonym przez tradycję, odczuwającym bezradność wobec zawartych w niej przesłań — cóż pozostaje? Oczywiście muszą się jakoś urządzić w jej obszarze, zagospodarować to, co odziedziczyli i czego przekroczyć nie potrafią. Pozostaje im więc... metodologiczna refleksja nad spadkiem: szlifowanie metod, precyzowanie pojęć, etykietkowanie narzędzi, próby kombinowania kategorii, wysubtelnianie technik analizy (zabiegi formalizacyjne!), paradoksalne odwrócenia zaleceń metodycznych, cieniowanie terminologii. Oto mowa ludzi, którzy pragną zagadać swoją jałowość.

5. Inna hipoteza jest bardziej sympatyczna. Zwłoki metodologiczne miałyby być mianowicie przejawem zmiany, jaka się na naszych oczach dokonuje w pojmowaniu powinności humanistyki. Mówiąc najkrócej: świadczyłyby o wzrastającym znaczeniu pierwiastka ludzkiego w działaniach humanistów i o akceptacji tego pierwiastka. Oczywiście moment zabawowy występował zawsze w pracy filologa, historyka czy filozofa, jednakże utajony w cieniu zadań poważnych i odpowiedzialnych — ugruntowywania Wiedzy, docierania do Prawdy, propagowania Dobra. Dla sytuacji obecnej znamienne jest natomiast ludzyczność nieskrywana, a nawet drażniąco ostentacyjna. Humanista już nie wstydy się tego, że bardziej niż badania efektywne interesują go możliwości badań. Podejmuje bezinteresowną grę z tymi możliwościami: proklamuje — niejako na próbę — nowe dyscypliny i specjalności, zgłasza szczegółowo opracowane projekty przedsięwzięć, na których realizacji wcale mu nie zależy, wymyśla tak rygorystyczne przepisy postępowania, że nikt nie potrafi im sprostać, dokonuje metaforycznych operacji na terminologii, miesza eksperymentalnie języki i koncepty. Lubi w szczególności pytać: «czy możliwa jest dyscyplina, którą uprawiam?». Najbardziej się cieszy, gdy wyjdzie mu zgrabna odpowiedź nega-

tywna. Po udzieleniu takiej odpowiedzi z czystym sumieniem oddaje do druku książkę, która samą swoją objętością niemożliwości udowodnionej zaprzecza.

6. Wypada jeszcze wspomnieć o hipotezie mającej charakter wulgarnie socjologiczny. Głosi ona, że usamodzielnianie się i niebывale rozbuchanie metodologii dają się wytłumaczyć jako proces wytwarzania nowych miejsc pracy badawczej — w okolicznościach, gdy przyrost humanistycznej kadry naukowej wyprzedza dotychczasowe możliwości jej wchłonięcia i wykorzystania.

* * *

Spoglądam przez okno: są! — moi dobrzy znajomi. Widzę ich nieomal codziennie. Rozsypani w malowniczą grupę na zrytym przez buldożery placyku osiedlowym. Niby w zespole, a przecież każdy oddzielny — zatopiony w sobie, oparty o łopatę, zastygły jakby w gotowości do wykonania nią pierwszego ruchu. Nie rozglądają się ciekawie w koło jak bezczelni próżniacy; przeciwnie: są boleśnie skoncentrowani. Nie ma w ich postawie luzności właściwej ludziom odpoczywającym po wysiłku. Bo też nie odpoczywają; nie mają po czym. Praca ich dopiero czeka: powinni wykopać rów. Mijają godziny, dni, tygodnie, pory roku — a oni (ci sami? inni?) w nie zmienionych pozach, dokładnie tam gdzie poprzednio, w osobliwym bezruchu. Trwają. Ich powstrzymywanie się od podjęcia działań, na przekór wszelkim sprzyjającym okolicznościom, graniczy już z prawdziwym heroizmem.

Człowiek oparty o łopatę — ktoś już zwrócił uwagę na jego rolę (symboliczną prawie) w naszym pejzażu. Fascynuje mnie, nie przeczę. Mogę podpatrywać go całymi godzinami. Zastanawiałem się nieraz nad jego życiem duchowym. O czym дума, gdy tak upozowany — trwa? Z jakimi ideami się mocuje, boleśnie skoncentrowany? Co za odkrycia w nim dojrzewają? Domyślałem się, że kontempluje w skupieniu funkcjonalny kształt łopaty i miejsce, w którym miałby zanurzyć jej ostrze. Zastanawia się nad ich współzależnością, rozważa kąt, pod jakim najśluszniej byłoby uderzyć, właściwości gruntu i cechy narzędzia. Przemyślał do końca sekwencyjny porządek planowanej czynności, wyodrębnił jej elementarne jednostki (tzw. kopemy) i ułożył je w stosowny paradygmat. Zbudował już kompletną wiedzę o czekającej go pracy. Nie zaczyna jej jed-

nak. Wie bowiem, że już pierwsze machnięcie łopatą stanie się dla niego źródłem bolesnych rozczarowań: ostrze wejdzie w ziemię nie tak jak powinno, piękne narzędzie ulegnie zabrudzeniu, a może się nawet wyszczerbi... Postanawia raz jeszcze wszystko przemyśleć od podstaw: rzecz jest zbyt poważna, by mógł sobie pozwolić na najmniejszą nieostrożność!

Janusz Sławiński